



Mirosław Derecki

TEATR NAPRAWDĘ LUDOWY

Tak, tak – teraz dokładnie przypominam sobie ów czerwcowy wieczór. Od płynącego środkiem wsi strumyka ciągnął chłód, ale na górcze, koło remizy strażackiej, powietrze było jeszcze ciepłe, jeszcze brzęczały nisko nad trawą chrabąszcze. Zwykle łowiliśmy je z Lonkiem i z Zosią Piłatówną do butelek, sam nie wiem dlaczego, może wierzyliśmy wówczas, że nocą będą rozświetlały wnętrze domu niczym robaczki świętojańskie?

Ale owego wieczoru biegliśmy na górkę w zupełnie innym celu. Wokół remizy gromadziły się tłumy mieszkańców Karczmisk, z okien budynku biło światło, przy tylnym wejściu kręcili się „przebierańcy” z przyprawionymi wąsami i jaskrawo wymalowanymi policzkami. Za chwilę miał się rozpocząć „teatr”, czyli kolejna premiera tutejszego zespołu teatralnego działającego przy Ochotniczej Straży Pożarnej.

Zadźwięczał wypożyczony ze szkoły dzwonek i wszyscy ruszyli ławą do wejścia, a my dzieci, przesmykiwaliśmy się pod nogami dorosłych, z drzeniem serca - że nie starczy dla nas miejsca - wyciągaliśmy dłonie z pomiętymi banknotami w stronę kasjerki, która rezydowała za odrapanym, wciąż potrącanym przez tłum stolikiem...

Wewnątrz remiza była świeżo wybielona, pachniały ustawione pod ścianami choinki, z za uszytej z koców kurtyny dochodził stuk młotka. Najmłodsze dzieci pędem zajmowały stojące miejsca przy samej scenie, dorośli sadowili się na ławkach albo przyniesionych ze sobą krzesłach, wyrostki wdrapywały się na parapety okien. My wywalczyliśmy sobie miejsce na beczkowie w tylnej części remizy, wśród drabin, bosaków oraz parcianych węży zwisających z sufitu. Stąd, ponad głowami publiczności, rozciągał się doskonały widok na scenę. Przedstawienie bardzo długo nie zaczynało się - na wsi nikt się specjalnie nie śpieszy, nawet widzowie - toteż gdy z za kurtyny po raz ostatni wysunęła się czyjaś ręka i zamachała dzwonkiem, było już dawno po oddzwaniu jutrzni w kościele i po wieczornym udoju.

Kurtyna rozsunęła się ze zgrzytem kólek po zardzewiałym drucie. Wszyscy zaparli dech w piersiach. Na scenie pojawiła się dziewczyna w wojskowym mundurze. Zanim przemówiła - posypały się brawa. Był rok 1945 i sam widok polskiego munduru wzbudzał entuzjazm wśród publiczności. Treść sztuki była oczywiście „wojskowa”. Grano jednoaktówkę pod tytułem: „Panna

rekrutem”...

Tak, tak - powiało ku nam wspomnieniami z dzieciństwa, sprzed dwudziestu pięciu lat. Kiedy ja, siedząc na beczkowie w ciemnym kącie sali, śledziłem akcję rozgrywającą się na scenie i dusiłem w sobie wzbierającą łzami zazdrość, że nie jestem po tamtej stronie rampy. Zygmunt Czarniecki przeżywał za kulisami treść przed pierwszym w życiu występem. Wówczas nie wiedzieliśmy nic o sobie. Nikłe istniały szanse, że się kiedykolwiek w życiu spotkamy. A jednak, „góra z górą...”. Čwierć wieku później obydwaj - rolnik i dziennikarz - poczuliśmy się starymi znajomymi. Może też łatwiej mi było zrozumieć i ocenić artystyczny dorobek aktorów- amatorów z Karczmisk, gdy rozmowa o działającym tutaj od lat z górą pięćdziesięciu wiejskim teatrze amatorskim toczyła się w sali teatralno- kinowej niedawno ukończonego budynku, budynku, na którego rozpoczętych fundamentach, tuż po wojnie, wyznaczałam patykami miejsce na scenę, garderoby, zaplecze. Ten przypadkowy niemal wyjazd w teren, do wsi mojego dzieciństwa, przyniósł mi na dodatek dwojakiego rodzaju wartości poznawcze: oprócz wiadomości przydatnych reporterowi, pozwolił sentymentalnie nieco wspomnienia nasycić głębszą wiedzą o ówczesnych czasach...

Stara to wieś. Karczmiska. Nazwa powstała od licznych karczem, które tutaj kiedyś istniały. Wieś leżała na ruchliwym szlaku handlowym wiodącym ku Krakowowi i tutaj zwykle zatrzymywali się na dłuższy popas kupcy, zbierający siły do przeprawy przez Wisłę w leżącym nieopodal Kazimierzu. Wieś opływała w dostatki, do momentu jednak gdy - jak głosi miejscowa legenda - został tutaj zamordowany jakiś szlachcic. Za karę król - jaki król, tego już legenda nie wspomina - nakazał zburzyć karczmy.

A jeszcze wcześniej wieś nazywała się Krampa. Już na początku piętnastego stulecia wspominał o niej Jan Długosz w swej „Liber Beneficorum” - *Krampa, wieś - która należała do klasztoru zwieżyńskiego i do klasztoru kazimierskiego lecz teraz została wzięta jako własność królewska i na mocy prawa par. należy do kościoła w Kazimierzu któremu płaci dziesięcinę snopową i ze wszystkich pól jest tam również osobny kościół drewniany połączony z kościołem w Kazimierzu w którym pleban zarządza na mocy swojego prawa.*

Kultywowania tradycji historycznej przez mieszkańców wsi znalazło między innymi wyraz w nadaniu miejscowemu stałemu kinu właśnie nazwy „Krampa”.

Inna wzmianka o Karczmiskach znajduje się w „Rejestrze poborowym Województwa Lubelskiego” z 1628 r. Stwierdza ona, że *Pan Adam Męcmierski oddał poboru tr.(ojakiego) ze wsi Karczmisk z lanu woitowskiego po F.1 – F. - 3.A Rationem Servitii według uniwersału nad pobór uchwalony dał F. 5.*

Najwięcej jednak dokumentów i zapisków zachowało się, oczywiście, z czasów najnowszych. Szczególnie okres międzywojenny i czasy ostatniej wojny obfitowały w wydarzenia, które kształtowały dzisiejsze oblicze wsi. Wcześniej zawiązał się tutaj ruch ludowy i od razu zyskał sobie

dużą popularność. Były zresztą ku temu sprzyjające warunki. Wieś leżała na ruchliwym szlaku z Opoła do Kazimierza i dalej do Puław, była stolicą gminy, poza wielką masą chłopską (ok. 4 tys. mieszkańców, 700 gospodarstw) posiadała też niemały odsetek ludności reprezentującej klasę robotniczą. Wielki majątek ziemski Strażyców zatrudniał dziesiątki robotników rolnych, była też liczna grupa kolejarzy pracujących na miejscowej, węzłowej stacji kolejki wąskotorowej, łączącej Nałęczów z Opolem, Poniatową i Zagłobą. W latach międzywojennych powstała i aktywnie działała spółdzielnia rolniczo-handlowa „Swojak”. O aktywności tutejszych mieszkańców może świadczyć fakt, że już dwa lata przed wojną Karczmyska zostały zelektryfikowane - jak na ówczesne czasy rzecz w Polsce niezwykle rzadka.

Dużą aktywność społeczną przejawiała również miejscowa młodzież. Od marca 1926 r. działało tutaj koło ZMW „Wici”, założone przez nauczyciela Władysława Żywara. Koło skupiło członków miejscowego zespołu teatralnego. Wiciowcy założyli wiejską bibliotekę, której księgozbiór liczył początkowo trzysta tomów. Książki zakupiono z pieniędzy zarobionych na występach artystycznych oraz zbiórek wśród miejscowej ludności.

I tutaj wypada powrócić do amatorskiego zespołu teatralnego, z którego działalnością autor artykułu zetknął się na moment w roku 1945. Nie mogłem wówczas wiedzieć, że niefrasobliwa historyjka o pannie – rekrucie jest dwudziestą którąś tam z rzędu premierą teatru i że sam zespół szybkimi krokami zbliża się do obchodów trzydziestolecia swojego istnienia. A jednak...

Amatorski zespół teatralny w Karczmyskach powstał już w 1918 r. z inicjatywy istniejącej tutaj od r. 1913 Ochotniczej Straży Pożarnej. Pierwsze przedstawienie, jednoaktówka pt. „Matka żyje”, odbyło się w spienrzu dworskim, w sali wypożyczonej przez właścicielką majątku, Janinę Strażycową. Jednak bardzo szybko dwór zrezygnował z pomocy, a miejscowi entuzjaści teatru musieli chcąc nie chcąc zwrócić się o pomoc do księdza. Na krótko udostępniono im szopę zajazdową na plebanii. Ale dopiero wybudowanie remizy strażackiej zakończyło okres trudności lokalowych zespołu.

Jak duży był w owych czasach wśród społeczeństwa Karczmysk pęd do teatru niech świadczy fakt, że np. w 1926 r. istniały tutaj aż trzy zespoły dramatyczne: przy kole „Wici”, Kole Gospodyń Wiejskich oraz „Strzelcu”. Nie było wówczas poradni kulturalnych ani tym bardziej domów kultury, nie było do kogo zwrócić się o poradę w sprawach doboru repertuaru. Domorośli reżyserzy, rekrutujący się najczęściej spośród samych rolników, brali „na warsztat” to, co im wpadło w ręce. Obok nielicznych, naprawdę wartościowych pozycji jak sceniczna przeróbka „Końskiej kuracji” Czechowa, prym wiodły różne „Jaśkowe zamysły”, „Chrapania z rozkazu”, „Młynarze i kominiarze”, „Nieboszczycy z urojenia” czy „Żywot świętej Genowefy”. Niezależnie jednak od tych naiwnych jednoaktówek zespół coraz częściej podejmował próby zaangażowania się w problematykę lokalną. Powstawały składanki „estradowe”, częściowo satyryczne, częściowo poświęcone walce o zaangażowanie się wsi w życie społeczne, gospodarcze. Teksty pisane były

przeważnie przez samych członków zespołu. Przed utworzeniem spółdzielni „Swojak” jedna z postaci scenicznych, Mądralska, w ten sposób przekonywała o celowości jej zorganizowania:

Jedna jest rada. Oto posłuchajcie.

Spółdzielnię sobie stwórzcie tu u siebie.

Radzę wam szczerze, więc mi zaufajcie

Wszelkich wskazówek udzielę w potrzebie.

Jest tu was we wsi pewnie chłopu dwieście.

Niech każdy złoży kilkanaście złotych,

Za to kupicie towar w „Społem”, w mieście.

Swój sklep stwórzcie. Dalej do roboty!

Okras okupacji nie tylko przerwał działalność zespołu, ale nawet wpłynął na... podniesienie poziomu artystycznego. Wprawdzie próby i przedstawienia odbywały się potajemnie w prywatnych domach, ale programy składały się głównie z wierszy patriotycznych, utworów Mickiewicza, Słowackiego.

A równocześnie członkowie zespołu w szeregach BCh i AK biorą udział w akcjach partyzanckich. W wojennej historii Karczmisk upamiętnia się atak partyzantów na Niemców jeżdżących kolejką wąskotorową, okupiona krwawymi ofiarami akcja mająca na celu zdobycie statku pełnego własowców, pływającego po niedalekiej Wiśle.

Wyzwolenie Polski, czasy władzy ludowej i kształtowanie przez nią nowego modelu kulturalnego wsi, przynoszą rozkwit zespołu. Z teatrem na długie lata wiąże się kierownik miejscowej szkoły podstawowej Józef Bialic, on też najczęściej reżyseruje wartościowe, pełnospektaklowe sztuki. Największą popularnością wśród publiczności i wśród wykonawców cieszy się Fredro („Śluby panięskie”, „Zemsta”, „Przyjaciele”, „Gwałtu, co się dzieje”), Szaniawski („Matka”, „Powódź”), Korzeniowski („Karpaccy górale”), Bałucki („Grube ryby”). Bialicowi najczęściej pomaga w reżyserowaniu młody rolnik, Zygmunt Czarnecki, który kiedyś, w 1945 r., z taką tremą przygotowywał się do pierwszego występu w naiwnej „Pannie - rekrutem”. Wkrótce sam już wyreżyseruje „Matkę” i „Powódź” Szaniawskiego. Od roku 1950 dorobek zespołu powiększył się o ponad tuzin premier i około dwudziestu okolicznościowych programów składanych.

Obecnie amatorski teatr w Karczmiskach liczy ok. 30 członków, niektórzy z nich, jak małżeństwo Maria i Jan Karasiowie, są już w zespole od ponad trzydziestu lat. Od 1963 r. zespół należy do Związku Teatrów Amatorskich. Na pięćdziesięciolecie istnienia przygotował składankę z najlepszych programów, z repertuaru jakże innego niż w czasach przedwojennych: sceny z „Ślubów panięskich” i „Zemsty” Fredry, „Matki” Szaniawskiego, i „Pieją koguty” Bałuszisa. Ostatnio, od grudnia, przygotowuje po raz drugi „Karpackich górali”. W marcu występował w Karczmiskach i

Opolu z montażem poetyckim „Słowo o Leninie” w reżyserii Czarneckiego.

Zespół z Karczmisk nie należy z pewnością do najsilniejszych teatrów amatorskich na Lubelszczyźnie. Nie realizuje „odkrywczych” przedstawień i nawet nie może pochwalić się zbyt wieloma dyplomami i „pierwszymi miejscami” (najwyższe dotychczasowe wyróżnienie to zajęcie II miejsca za „Zemstę” no wojewódzkich eliminacjach teatrów amatorskich w Lublinie w 1955 r.). Charakteryzuje go natomiast rzecz o wiele ważniejsza od nagród i wyróżnień: jest jednym z nielicznych, tak długo działających zespołów, posiada jak mało który zespół artystyczny wielki wkład w kształtowanie oblicza kulturalnego swojego środowiska. W pełni zasługuje na miano Teatru Ludowego - od pół wieku uczy nie tylko patrzenia na dzieło sztuki, ale spełnia także wielką rolę społeczną, wychowawczą. Kiedyś jego członkowie złożyli pierwszą we wsi bibliotekę. W wiele lat później, gdy zaistniała potrzeba czynów społecznych, zespół zwykle był na czele tych, którzy organizowali taką działalność. W siedzibie zespołu zachował się wielki kolorowy afisz z napisem: „Co robić, żeby ogrodzić szkołę siatką? Trzeba 86 słupków i szyn, 2 000 kg cementu i 357 m kw. siatki. - opracowujemy więc sztukę Fredry „Śluby panieńskie”, dochód przeznaczamy na ten cel”. Komentarz zbyteczny.

Ludzie spotykają się dwa razy w tygodniu na próbach; z miesiąca na miesiąc, z roku na rok wrastają w zespół coraz silniej, życie zespołu staje się ważną częścią ich własnego życia. Pasja do teatru przechodzi z ojca na syna, a potem na wnuka, nierzadko na próbach spotykają się przedstawiciele trzech pokoleń tej samej rodziny. Nierzadko też tutaj kojarzą się małżeństwa. W zespole poznali się przed trzydziestu laty Karasiowie, w zespole znalazł sobie żonę Zygmunt Czarnecki. On grał właśnie w „Ślubach panieńskich” Gustawa, ona - Klarę. Na scenie te dwie postaci raczej nie darzą się sympatią, ale też życie i teatr nie muszą się rządzić tymi samymi prawami.

Sam zaś Czarnecki, piastujący liczne funkcje społeczne w Gromadzkiej Radzie Narodowej, prezesujący gromadzkiemu komitetowi ZSL i Kółku Rolniczemu, znalazł jeszcze czas, aby w ciągu kilku ostatnich lat uczestniczyć w kursie dla instruktorów teatrów amatorskich, organizowanym przez WDK w Lublinie, ukończyć go i zyskać dyplom instruktora teatralnego.

Tak, tak - wspomnienia i całkiem nowe, nie znane mi fakty i znowu wspomnienia... Kiedy piłem piwo w dawnym sklepie Goliszka, przy zakręcie szosy obok mostu, w sklepie, w którym kiedyś kupowałem landrynki i lizaki, podszedł do mnie chłopak w skórzanej marynarce i w dżinsach, przyjrzał się uważnie i zagadnął: co to, pan, panie Mirku, przyjechał szukać wspomnień, czy reporterskiego materiału?

- Chyba i jednego i drugiego - odparłem. - Ale przepraszam, nie bardzo sobie przypominam...

- Jestem młodszym bratem Zosi Piłatówny...

- Ho, ho - powiedziałem – tak, tak... stare dzieje... I poczułem się trochę staro. - A... co pan teraz robi?

- No cóż, trochę człowiek wyrósł od tamtych czasów- Jestem tutaj przewodniczącym koła Z MW. No a poza tym należę do tutejszego zespołu teatralnego...

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr 10, s. 3, 11.